

Boiduda szuka sacrum

"Ssanie" - zbiór szkiców Jakuba Lubelskiego - stawia jego autora w pierwszej lidze krytyków młodego pokolenia



"Ssanie" - zbiór szkiców Jakuba Lubelskiego - stawia jego autora w pierwszej lidze krytyków młodego pokolenia



Przeczytaj więcej o książce

Tytuł fatalny. Budzący skojarzenia dalekie od świątobliwego nastroju, w jaki wprowadzić ma jego dopełnienie: „Ssanie. Głód sacrum w literaturze polskiej”. Co prawda autor od początku różnymi akademickimi trickami próbuje uzasadnić swój wybór. A to napisze o wysysaniu czegoś z mlekiem matki, a to przytoczy inne związki frazeologiczne, a to przygrzeje cytatami z Rabelais’go, św. Augustyna, poprawi Gombrowiczem, zakłajstruje Bobkowskim, ale sprawa nie da się tak łatwo wyegzorcyzmować i chichot co chwila jednak wzbudza i niesmak. Tak więc, niestety – jakby się chciało powiedzieć po angielsku – the title sucks.

A jeszcze do tego ta maniera wypowiedzania się w liczbie mnogiej! Przeczytamy, damy odpowiedź – co za dziwaczny, archaiczny zwyczaj, naprawdę wybijający z rytmu czytania. Aż się człowiek mimowolnie ogląda za siebie i zastanawia: jakie „my”, w co chce wciągnąć mnie autor, o co mu chodzi. Rzeczywiście, jest w książce Jakuba Lubelskiego trochę niepotrzebnych ukłonów w stronę szacownych uniwersyteckich autorytetów, jakby uruchamianiem pozorów akademickiego dyskursu autor chciał zaskarbić sobie i ich wdzięczność.

Czepiam się? Być może. Bo przecież „Ssanie”, książka wyrastająca z podobnych do moich przekonań o świecie, proponuje tak odmienny styl lektury, że niczym jakaś herezja – niby bliska, prawie tożsama, ale w interpretacjach tak drażniąco inna, że irytuje mocniej niżli odległe wierzenia, niżli zapiekły ateizm. Drobne różnice doktrynalne, niekiedy zupełnie niedostrzegalne dla zewnętrznych obserwatorów, zdające się błahymi nieistotnymi drobiazgami, dla wyznawców przecież stają się wystarczającymi powodami do schizmy, do rzucania anatem, do wyklinania.

PROJEKT TEOLOGII LITERATURY

Oto Jakub Lubelski (rocznik 1984) chce uprawiać krytykę literacką bez ukrywania swoich głębokich przekonań religijnych. Chce, przyznając się do katolicyzmu, identyfikując z własnym pokoleniem, mocno zanurzony we współczesne spory, dokonywać aktów lektury i przy pomocy krytyki literackiej uprawiać swoistą teologię literatury. Dziełom literackim chce zadawać pytania najważniejsze. O Boga, sens życia, metafizykę.

Dość ma błahych literackich gier i gierek, dość błaznowania. Chce być poważny i do powagi zmusić twórców. Choćby się wydurniali, choćby stosowali przeróżne strategie ironiczne, Jakub Lubelski pozostaje odporny na ich wygibasy i powtarza pytania najważniejsze. Nie da się zamknąć w getcie literatury konfesyjnej, o nie, wyjdzie śmiało do artystów dalekich od chrześcijańskich etykiet, sięgnie po książki piętnowane przez konserwatystów albo te czytane jednostronnie, płytko i uczyni z nich przedmiot poważnych analiz.

Do tej pory – pełna zgoda, do tej pory – całkowita zbieżność. I przecież takiej przenikliwej lekturze zawdzięczamy choćby kapitalną polemikę Lubelskiego z próbami zawłaszczenia Brzozowskiego przez współczesną lewicę. Radosne cytowanie mocnych opinii autora „Płomieni” o monogamii jako wielkim osiągnięciu cywilizacyjnym, rzucanie w twarz modernizatorom z „Krytyki Politycznej” żarliwych pochwał rodziny i ładu moralnego. No i teksty o powieściach Brzozowskiego z doskonałymi szarżami aktualizującymi jego przekaz, ze świetnymi grammi krytycznymi Lubelskiego: lokowaniem bohatera „Pod ciężarem Boga” w przestrzeniach współczesnych, zabieraniem go do telewizyjnych studiów, sprawdzaniem, jak instrumentalnie byłby wykorzystywany przez mainstreamowe media. Brzozowski współczesny? Jak najbardziej. Lubelski karkołomnie zestawia „Książkę o starej kobiecie” z „Sorry Polsko” Marii Peszek, żarliwość pisarza konfrontuje z kombinacjami Agaty Bielik Robson. W szkicach otwierających „Ssanie” jest niezwykłym szermierzem niebojącym się anachronizmów, niestroniącym od zaangażowania, polemicznych przerysowań. W następujących później opowieściach o Witkacym i Schulzu już jest trochę naciągania, trochę blagi, gdy słowotokom rozegzaltowanych bohaterów czy upozowanych narratorów przypisuje się autorską sankcję, gdy z przypadkowych strzępów i skrawków tka światopogląd twórców, gdy wreszcie poetyckimi sposobami, jakąś literacką kiczowatą manierą stara się zastąpić rzeczowy wykład. Finał szkicu o Schulzu, stwierdzenie, że dla zrozumienia pisarza z Drohobycza trzeba samemu stać się pisarzem, no to już zaczyna irytować i czuję, że ehej, wpływamy na mieliznę.

Ale przecież nie ma o co się spierać. Każdy krytyk ma swoje chwytły i sposobiki, czasami rozgrzebany niedomykający się dyskurs trzeba jakoś skończyć, więc wchodzimy w tandetną lirykę lub dajemy anegdotę

zupełnie ni priczom.

ZAINFEKOWANIE PILCHEM

To, co oczywiście jest dla mnie przedmiotem sporu, to Pilch. Pilch i Gombrowicz. A raczej ubóstwienie Pilcha i niezrozumienie szansy, jaką niesie lektura Gombrowicza.

Jerzy Pilch, znajomy matki autora, polonistki z Uniwersytetu Jagiellońskiego, bez wątpienia zepsuł Lubelskiemu jego prozatorski debiut. „Boiduda” (2012) – autobiograficzna powieść o dorastaniu syna bez ojca, o dorastaniu do małżeństwa i własnego ojcostwa – skażona została przez ducha Pilcha w sposób niewybaczalny. Owszem, jeden rozdział książki – „Tata par avion” – ocierał się o wielkość. Przeglądanie pocztówek od ojca, który porzucił syna i podróżując po świecie, śle mu widokówki, próbując niezręcznie nadrobić tym gestem brak obecności, staje się doświadczeniem wstrząsającym. Lektura krótkich niezręcznych ojcowskich notatek, która w przypadku istnienia głębokiej więzi byłaby po prostu aktualizowaniem rodzicielskiej miłości, a tak wywołuje bezsilną rozpacz i szyderstwa niekochanego dziecka, naprawdę wzniosła prozę Lubelskiego na wyżyny artyzmu, porażając szczerością.

Ale, niestety, debiutujący Kuba został zainfekowany przez goszczącego w ich domu Jerzego Pilcha i w związku z tym na pozostałych kartach powieści rywalizuje z nim w uprawianiu literatury, która rozumiana jest jako perlenie kolejnych olśniewających rzekomo skojarzeń, mnożenie słów ponad wytrzymałość, popisywanie się metaforami

i skojarzeniami zupełnie zbędnymi. Pilch bowiem z lektury Gombrowicza przejął manierę barokowego wielosłownia, nie rozumiejąc, że to co najwyżej „Dziennik”, a nie „Trans-Atlantyk” mógłby być wzorcem polszczyzny. Nawiasem mówiąc, barokowe rozlazłe koncepty prezentujące także stan ducha, stały się przekleństwem dla wielu polskich pisarzy, którzy mniemają, iż archaizacja, przestawne szyki i egzageracja stylistyczna świadczą o kunszcie i mistrzostwie. Jeden zdaje się tylko jedyny Kołakowski z lekcji stylistycznej Gombrowicza wyciągnął właściwe wnioski i archaizacje wprzągnął w służbę czystości przewodu, a nawet jego szlachetności.

Lubelski, niestety, także w „Ssaniu” powtarza akty miłości wobec Pilcha. Stylistycznie na szczęście pozostaje tu wolny od pilchowego wirusa, ale pisze o autorze „Marsz Polonia”, że to „jeden z najważniejszych słuchaczy ducha III RP, nadwiślański mistyk”. Rzeczywiście wyraził to ducha III RP i jego niewątpliwy współtwórca, ale właśnie ducha skundlonego, bełkotliwego, to medium wszystkiego, co w duchowości czasów transformacji najgorsze: ironii maskującej duchową pustkę, wielosłownia zastępującego konfrontację z rzeczywistością, parcianej kleczonej naprędce mistyki. Oj, brakuje Lubelskiemu krytycznego dystansu, oj, brakuje też argumentów, bo przecież gdy czyta się jego wypowiedzi czy to o Pilchu, czy Gombrowiczu, to poza emfazą i obracaniem wciąż tymi samymi cytataми mało tu precyzji.

BAŁAMUTNY LIST PAPIEŻA

Wiem, wiem, wynika to z jego projektu krytyki literackiej, z chęci oswojenia jak największej liczby dzieł, z pragnienia sojuszu z najmocniejszymi nazwiskami, z przymknięcia oczu na ewidentną bałamutność „Listu do artystów” Jana Pawła II i szukania dobra nawet w dziełach mrocznych i skażonych złem, by stworzyć jakieś humanistyczne uniwersum. Do papieskiego listu odwołuje się Lubelski we wstępie swych esejów i trzeba przyznać, że ten duch otwarcia i naiwnej pobłażliwości towarzyszy mu w „Ssaniu” stale.

O uporczywym chrzczeniu Gombrowicza pisałem już krytycznie na łamach „Do Rzeczy”, omawiając tekę „Pressji”, więc tylko zasygnalizuję, że wedle mnie o wiele sensowniejsze jest mocowanie się z Gombrowiczem ateistą i nawet wyostrzenie jego tez niż czynienie z niego sojusznika w tej materii. Scenie unieważnienia mszy przez Fryderyka w „Pornografii” wolę przeciwstawić wizję świętego Jana od Krzyża, przedstawioną na słynnym obrazie Salvadora Dali. Wejrzenie na mękę Syna, z tej kosmicznej, niepokojącej niewygodnej perspektywy, gdy zza krzyża, sponad głowy Umęczonego patrzy się na zbawiany świat, czy też widzenie świętej siostry Faustyny, w którym Ojciec patrzy na Ziemię przez rany Boga-Człowieka, wydają się mocniejszym kontrapunktem niżli opowieści o tym, że Witold, Itek, kochał swoją siostrę Renę i w listach do niej pisał ciepłe słowa o jej wierze. A jak! Jeśli mamy się spierać, to na serio. Zamiast sufrowania Schulzowi katolicyzmu wolę zderzyć się z herezją przebóstwienia przez arcyzm i pojmowania sztuki jako religii, zamiast wywyższania Mackiewicza i podnoszenia banalnego opowiadanka o płaszczu z „Karierowicza” do poziomu Gogola wolałbym mocne zderzenie z jego poglądami.

No tak, bo różnię się z Lubelskim diametralnie. Tam, gdzie on szuka sojuszników, łagodzi spór, odnajduje punkty wspólne, ja chcę wyostrzać różnice, chcę definiować siebie poprzez sprzeciw, chcę ostrzegać przed rozmywaniem depozytu wiary, przed zapominaniem o wielkości naszej tradycji. Podczas gdy Lubelski anektuje twórców, pokazuje, że kieruje nami wszystkimi metafizyczny głód, że w zasadzie wszyscy jesteśmy wielką wspólnotą poszukującą sensu, kierującą się tymi samymi wartościami, ja krzywię się z niesmakiem, dociskam do muru, próbuję ostrzegać przed zagrożeniami dla duchowego życia ukrytymi w efekciarskich frazach, błędnych metaforach, fałszywym światopoglądzie.

Oj, wznieca żywioły polemiczne Lubelski, oj, irytuje. No ale czy nie na tym, nie na irytowaniu, ma polegać krytyka literacka? Czy stopień wkurzenia nie jest jednym z najistotniejszych kryteriów jakości i skuteczności krytyki?

Warto czytać Lubelskiego.

Andrzej Horubała

Tekst ukazał się w tygodniku Do Rzeczy